

Teatr w cyrku

Hrabina robi szpagat

W Cyrku panuje od pewn. czasu osobliwy nastrój. Wieczorem u kasy ogonki hrabini, aktorów, dygnitarzy — znacznie mniej specyficznej, cyrkowej publiczności. Na galerię pcha się „jencelignecja”. „Antki” woła prawdziwy cyrk, ale business można i tak zrobić, więc wyzbywają się biletów pokutnie, na pasek, z procentem. Do cyrku chodzi teraz „warszawka” kawiarni, kabaretów, dancinów i salonów. Chce popatrzeć jak Ordonka hrabina Tyszkiewiczowa na koniu „wisi głową na dół”, jak Sim skacze po trapezach, Bodo udaje kłowna, a Mankiewiczówna gołębie uwodzi. Ale głównie chodzi o tę hrabinę. Sensacja nielada. Najprzód robiła perskie oko w Perskiem Oku, potem wyszło z tego Qui proquo, wreszcie recitale w Tel Avivie, potem wielka sztuka, sam Szekspir w Krakowie, a teraz znowu psikusa zrobiła z Parnasem, na arenę koziołka i w cyrkówkę się przedzierzgnęła.

Gwiazda Areny nazywa się na żart komedią dwuaktową, adaptowaną przez barda warszawki, Andrzeja Własta (rodzona matka a raczej rodzony ojciec Bus

Fekeli nie pozna tego wywłaszczonego dziecka). Nikt zresztą nie zgadnie, o co chodzi. Mankiewiczówna twierdzi, że libretto Trawiaty zna tylko jeden warjat, w Tworach od lat dwudziestu, libretto sztuki granej w cyrku zna chyba tylko Włast. Bo to i akustyka nadmiar złego taka dziwna, że głosy aktorów giną, rozpylają się w przestrzeni. Bodo szepcze coś na ucho Mierzejewskiemu, Mierzejewski mrucząc coś nuci, tylko dwoje prowincjuszy z Koziej Wólki — Walter i Skwierczyńska głosy mają donośne, więc rzucają sobie dowcipy z jednego końca areny na drugi, jak bomby. Nic zresztą nikogo nie obchodzi o co chodzi, bo chodzi naprawdę tylko o to, żeby popatrzeć, jak sobie dają radę z końmi i tresowanymi pieskami aktorzy sceniczni.

Najprzód wmaszeruje legion markizów, potem wjeżdża dumnie w czerwonym fraku „dyrektor cyrku” Mierzejewski. Na koniu trzyma się dobrze, a że koń mądry więc wszystko co trzeba, na własną nogę robi, ignorując jeźdźca. Potem pani Sokołowska batem śmiga, a koniki udają tak-

townie, że jej nie widzą i swoje spełniają, tylko na znak pogardy dla intruzów co się wdarli na arenę, robią trochę nieporządku. Wiedzą, że zamiatać po nich będzie sam Sielański. Niech ma za swoje, skoro mu się zachciało konkurencję wożnym i kłownom robić. O „dyrektorowej” Sokołowskiej powiada jej partner Bodo: „lepiejbyś koninę nam gotowała; poco ci do żywych koni”. Ale niech tam. Koń i tak zrobi swoje, chociaż mu fałszywa ekuijerką denierującą miauczy nad uchem — „au - au”. Potem wjeżdża Ordonka z Simem, oboje po sportowemu, niby arystokraci w parku bułofskim, prawdziwi woźni z prawdziwym animuszem zbierają dywan wzniesiając wulkan kurzu, później tłum różowonogich girłasek wywija łamańce, a Bodo tańczy na stole dżigę, tangując pulchnymi biodrami i biustem, potem nuda wieje i przeciągi wieje, robi się coraz smutniej, coraz bardziej szaro, „kłown” Sielański usiłuje rozweselić samego siebie, ale napróżno. Sim huśta się na trapezie (słychać głosy: „patrzcie jak on się tam drapie, na tem trapezie!” — ktoś inny chichocze — chi - chi, Antos popatrzo, wisi jak zając u Pakulskich, głową nadół”). Jednocześnie Ordonka cwałuje na białym boecklinowskim rumaku, szerokim jak kanapa, więc bidulka mimowoli szpagat robi. Czasami puści grzywę konia i nie trzymając się niczego śpiewa, a w oczach ma dramat, a gdy na sekundę położy się na żywej kanapie na plecach kurczowo trzymając się jedną nóżką pelli, to sala ryczy z zachwytem, a Ordon-

ka ma taki wyraz twarzy, jak samobójca wiszący, na najwyższym balkonie wieży Eiffel. Jeszcze jeden zgręczny ruch, powrót do pierwotnej pozycji, czyli do szpagatu, a cała sala wdycha ach! i och! że niby już się napewno nie stanie żadna katastrofa, że Ordonka uratowała sobie życie. Ślicznie jeździ konno, niema co, ale ktoś tam domagał się, żeby na stojąco, chociaż raz jeden, chociaż przez sekundę, ale to był taki niedelikatny łobuz, co za swoich dwa złote chciał mieć prawdziwy cyrk. A jakaś siwłosa, ostronosa dama czerwona z oburzenia szeptała — „dawniej hrabiny do konkursów hipicznych stawały, ale żeby w cyrku...” A tabetyczny baron z przedziałkiem (są jeszcze tacy) uspakajał ją — „ależ ma chere, a nie pamiętasz jak Encia, na stole kan kana tańczyła. Ja właśnie uważam, że ona ma tupeć, ma genre, — tylko ludzie naszej sfery potrafią się zdobyć na taki gest”. A ostronosa dama na to: „ale nie publicznie mon cher...”

Później, gdy już poniekąd widza djabli zaczynała brać (dajcie nam albo prawdziwy cyrk, albo prawdziwy teatr!) zjawia się zjawiskowo uroczą Mankiewiczówną z gołębią, co z nią tajemny pakt zawarły i tyle wnoszą poezji, że się robi jasno, niemal niebiańsko.

Są jeszcze girlsy fikające w bengalskim świetle i Bodo w damskiej bluzce, ze stu falbankami, tańczący bolero i znowu Ordonka, która na arenie w ostrym blasku białych, szpitalnych lamp, z wężową giętką, tajemniczej wamp przemienia się w zwykłą, pleczątką kobietę, aż wreszcie... Wreszcie na arenę wchodzi prawdziwy cyrkowiec o sprężystych pewnych ruchach, i zaczyna żonglować ciężkimi kulami.

I nagle — kończy się chaos, zamęt, wszystko co się działo przed chwilą wydaje się teraz nieudaną parodią, a tamci „cyrkowcy” kabotynami, którzy prawem kaduka, wdarli się na arenę.

Teraz dopiero ktoś tchnął ducha w cyrkową salę, muzyka brzmi mocno, wibruje, porwaw. Widz może porównywać ludzi cyrku z przypadkowymi ich konkurentami. U tamtych widać wysiłek, każdy ruch jest przemysłowy, każdy trick — to rezultat wieloletniej, ciężkiej pracy. Odwaga, lekceważenie śmierci, żonglowanie nad przepaścią, niemal heroiczna postawa wobec życia. Kto za nie miał gimnastyków, żonglerów jeźdźców i kłownów cyrkowych powinien teraz spędzić jeden wieczór w cyrku, nabierze dla nich szacunku, a trochę straci szacunku dla tamtych. A więc niema tego złego, co by na dobre nie wyszło. Sztucznie Szekelskiego — Własta poto było potrzebne, byśmy zatelesnili do rzetelnego, uczciwego, prawdziwego cyrku.

el.-ce.

„Oddam dziecko z ciałem i... duszą”

„U żydów — teźby mu mogło być dobrze...”

Właściwie ogłoszenie brzmiało nieco inaczej: „Trzymiesięczne dziecko niechrzczone oddam za własne. Adres:...”

Pod wskazanym adresem znajduje walącą się rudę, przyczem niesłychane brudy dookoła. Pokryty parchami kot wyleguje się przed drzwiami. Poprzez obtępiony tynek widać dziury na wylot do wnętrza izby.

— Ja w sprawie tego dziecka — mówię do jakiejś starszej kobiety, która mi otworzyła.

Na mój widok stara, przypominająca do złudzenia jedną z trzech wieźmi szekspirowskich, bez słowa wychyla się przez okno i krzyczy gdzieś w podwórze:

— Hela, o chodźno, bo tu jakiś po twoje dziecko przyszedł!

Na ten straszny krzyk przybiega młoda dziewczyna, jeszcze brzydsza i jeszcze bardziej zasmolona. Z podkrążonych oczu widać suchoty...

Bez długich wstępów zbliża się do kupy łachmanów leżących w kącie i wyjmuję z nich dziecko. Jest małe, przyzwoite i ma oczy obwidzione temi samymi sinymi obwódkami, co i matka. Już na pierwszy rzut oka widać, że zarówno dziecku, jak i matce niewiele się do życia należy.

— Więc oddacie to dziecko za własne? I nie będziecie mieli żadnych pretensyj?

— Jużci, proszę pań, przecie ja go sama nie wychowam. Mąż bez pracy, ja to samo...

— A dlaczego dziecko niechrzczone?

To proste napozór pytanie wywołuje najpierw konsternację, potem szereg wykwełów na temat kosztów.

— Jak Polska długa i szeroka — mówię — wszędzie księża chrzczą darmo.

Największy kościół w Polsce będzie wzniesiony w Bydgoszczy

W Bydgoszczy OO. Misjonarze zakonu św. Wincentego a Paulo prowadzą budowę wielkiego kościoła poświęconego swemu patronowi. Zanim powstanie kościół Opatrzności w Warszawie, będzie to największa w Polsce świątynia. Długa na 82 m., szeroka na 58 m., wysoka na 72 m. — powierzchnia zaś kopuły wynosi ra-

Dziewczyna namyśla się chwilę i wreszcie słyszy potworne wyznanie.

— Przecie... chrzczonego dziecka żyć nie możemy. A u żydów teźby mu mogło być dobrze.

Ze „matką niezamężną” oddaje dziecko za własne obcym ludziom, w tem niema nic dziwnego. Nie wiadomo bowiem, co jest bardziej godne pożałowania: los panny z dzieckiem, czy los panińskiego dziecka. Ze rodzice muszą, bo do tego ich zmusza nędza, oddać dziecko — to już jest tragedia, z którą jednak w ostatnich czasach spotykamy się coraz częściej...

Bo, proszę się zastanowić: „oddaję dziecko z ciałem i... duszą”. Jest niechrzczone — zróbcie z niem co chcecie: zróbcie z niego żyda, mułomana, możecie go nawet wychować na klasyczny okaz bezwyznaniowca — niechrzczonego, co ważniejsze, nieobrzezanego... Tylko — dajcie mu jeść!

Rodzice oddają dziecko i... jego duszę.

Nie można tu potępić rodziców za brak uświadomienia, czy brak serca. Nędza jest silniejsza. Wnien tu jest ustrój, który doprowadza do coraz większego zaniku uczuć ludzkich, do coraz gorszego zaniku ideałów.

Fakt, opisany powyżej nie miał sobie równego. To jest fakt, który szereg „może się związać w jedną krwawą ryzę, przekreślającą słowo: cywilizacja...”

W każdym razie takie fakty sprawiają, że słowo: cywilizacja zaczyna coraz bardziej stawać się słowem, to znaczy pustym bez znaczenia dźwiękiem.

i witpe.

Z plastyki

Wystawa plastyków ukraińskich

Dostałem zaproszenie na otwarcie VIII-iej wystawy, Ukraińskiego Stowarzyszenia Artystycznego „Spokij”, która się rozgrywa w salach „Polskiej IMCA”, przy ul. Marii Konopnickiej 6. Ósma wystawa, a więc ośmiem lat, co najmniej, działalności Stowarzyszenia! Jakże się stało, że tak mało dotychczas o nim wiemy? Jedną z niewątpliwych przyczyn takiego stanu rzeczy jest postępowanie władz stowarzyszenia, które imprezom wystawowym zrzeszonych w niem artystów nadają, jak dotąd, stałe charakter półoficjalny. Zaproszenia na te wystawy rozsyła się krytykom, artystom, wreszcie osobom do kół artystycznych zbliżonym, lub specjalnie, z racji zawodu, lub studiów, zainteresowanym sztuką. Zaprezentowania szerszej publiczności swych planów w takiej instytucji, jak IPS, albo Zachęta, artyści ukraińscy świadomie unikali, uważając dotychczasowy dorobek za studnia, poniekąd, przygotowane, przed większą wystawą, którą mogliby pochwalić się już wszem i wobec. Wprawdzie nasuwa się uwaga, że 8 lat na wprawki i ewenczenia, przed rozstrzeżaniem generalnej batalii, to trochę za dużo, ale tu trzeba wyjaśnić, że stowarzyszenie „Spokij” nie składa się bynajmniej z artystów jednakowo w sztuce zaawansowanych, którzy w tym samym czasie i razem rozpoczęli naukę. Są tu zupełni nowicjusze, nieomal dylatanci, (z nich coś się dopiero poczyna wyklawać), są i artyści dojrzały, jak np. Piotr Migik, prezes stowarzyszenia, wychowankę warszawskiej Akademii. Wogóle „Spokij” — jedyny przedwojenny plastyków ukraińskich, zamieszkałych w Warszawie; znaczna ich część przeżyła studia odbywała, lub jeszcze dotąd studjuje w na-

szej Akademii. Są to więc wszyscy ludzie młodzi, życie przed nimi i oni ze szczerą miłością przystępują do pracy, choć ich możliwości materialne nie raz przedstawiają się aż nadto skromnie.

Ogólnym rysem prac wystawionych jest wrażliwa świeżość odczucia, zjawisk plastycznych, ujawniana w sposób bezpretensjonalny i szczerzy. Artystom obce są różne nowiaki, mody, oraz rozmaite „izmy”, a mimoto wiele skromnych obrazków zdradza niewątpliwie iskry bożę. Jeśli już mamy malarzy ukraińskich konieczne sklasyfikować, można dla wielu wystawionych dzieł użyć terminu: impresjonizm realistyczny, zbliżony do typu realizmu przełojowej szkoły malarstwa rosyjskiego. W próbach malarstwa dekoracyjnego (tempera) widać elegancję nawiązania do tradycji, zarówno w stosowaniu środków technicznych, jak i w sposobach ujmowania rzeczywistości plastycznej. W studiach z natury artyści dążą do rzeczywistości najbliższej im — rodzimej: postaci ludzkiej, jako typu, stroju, sprzętu, architektury, pejzażu ojczyzny.

Wspominając o pejzażu — przyznam się na ubożu — iż niektóre rzeczy miłe brały trochę, i że wglądów poznawczych. Urodzony na Ukrainie, w kijowszczyźnie (proszę mi wybaczyć ten autobiograficzny materiał), spędziłem tam hoż mała 20 lat. Dawno już wróciłem na „ojczyzny łono”, ale jeszcze i teraz, czasem (trudno — nie będę ukrywać), gdy zobaczę krajobraz z moich stron, nawet na poetówce, nieraz coś mnie pikię koło sere. „Przepraszam bardzo...” jak mówi popularny gitarzysta, Marjan Rentgen.

Wiktor Podolski.

Kto zaprenumeruje

ABC — Nowiny Codzienne

ten będzie otrzymywał

BEZPŁATNIE

dołączony
literacko-artystyczny

PROSTO Z MOSTU

Miesięczna prenumerata

ABC — Nowiny Codzienne

razem z dodatkiem

PROSTO Z MOSTU

2 zł. 90 gr.

a ponadto z dodatkiem miesięcznym 200 stron druku powieści H. Sienkiewicza

3 zł. 90 gr.

z dostawą do domu w Warszawie i na prowincji

Niedawno ukazała się...

POWIEŚĆ A. MAUROIS

„INSTYTUT SZCZĘŚCIA”

ANDRÉ MAUROIS: „Instytut szczęścia”. Str. 221. Przekład Stef. Skarżyńskiego. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój”.

Gdyby tytuł słynnej książki Andrzeja Mauroisa „Kłamstwo” spróbować przenieść na jego nową powieść, musiałaby ona zostać nazwana „Kłamstwo kłamstwa”. Maurois na tle obrazu życia francuskiej prowincji pokazuje rodzinę, rodzinę szczęśliwą, zgodną, po mieszczańsku przykłądową. Rodzina Romilly łączy wszelkim konwenansom francuskiej burżuazji, zgrzeszona stara się nawet nadąć sobie pozory rodziny zamożniejszej — po zutem żona wierna jest mężowi, mąż — żonie, oboje szczerze kochają jedyną córkę, Colette, i właśnie zamierzają obdarzyć ją i. zw. sytuacją polezoną ze szczęśliwego małżeństwa, aranżując małżeństwo z panem de Savignacem.

I tu nagle szczęście Romilly’ów ma być wystawione na pierwszą próbę. Jest to próba prawdy. Trzeba Co-

lette powiedzieć, że nie jest ślubną córką swych rodziców. Colette urodziła się o wiele wcześniej, zanim nadszedł dzień ślubu Gastona Romilly, spadkobiercy pięknej, roduwej posiadłości z paryską krawcową — Walentyną Gontran.

Tę tajemnicę rodzice ukrywali przed córką. Przyjęli na siebie ciężar dożywotniego kłamstwa, które teraz musi się wydać. Kłamstwo ściga kłamstwo, okazuje się, że i Colette okłamywała rodziców, ponieważ oddawała wiedziała o wszystkim. Dramatyczną scenę odsłaniania Colette tajemnicy jej daty urodzin psuje sama Colette wbychem śmiechem. — Ach, więc wam tylko o to chodzi?

Nietylko. Na widowni zjawia się cień nowej nieznannej postaci — pan Martin Bussière. Otóż ów Bussière umierający, zapisuje cały swój majątek Colette. Dlaczego? Nie robi się takich prezentów ludziom wybranym z książki telefonowej. Dowód niewierności Walentyny Gontran jest oczywisty. Więc i tu było kłamstwo.

Walentyna nigdy nie zdradzała męża, ale kiedyś kochała nie był sam, Colette nie jest córką Gastona.

I znów oczekiwany patos wyznania żony owdowi. — Gaston kłamał tak samo, jak Walentyna, wiedział o tem równie dobrze, jak Colette wiedziała o przestawieniu przyjętego porządku chronologicznego między ślubem a narodzinami dziecka.

Wszystkie rewelacje nie są rewelacjami. — Znika ciężar tych lat udawania, tylu lat kłamania wśród największych porwów szczerości.

Kłamstwo, ukryta za tem kłamstwem tragedia — to pękło jak bańka mydlana. Maurois zachowuje się jak owa Colette — ach, więc widzicie, że nie się nie stało, trzeba było odrzucić to zrobić — i zaczęła do prawdy nie w imię kultury prawdy i ambicji podnoszenia życia na najwyższy poziom, ale na podstawie znajomości natury ludzkiej. Możecie mówić prawdę dlatego, że przywiązanie człowieka do szczęścia i lek o jego niecierpność jest silniejszy, niż protest moralny. Instytut szczęścia ten sam, który kazał kłamać, kaze teraz pogodnie przyjąć prawdę. Zresztą Maurois wie, że namowa

do prawdy oszabadzającej od ciężaru oszustwa, będzie bezskuteczna — instynkt szczęścia będzie mieć głos silniejszy i kaze przezornie kłamać. Ludzom — mówi książka Maurois — tak bardzo szczęścia potrzeba i tak mało go mają, że zawsze będą się obawiać przeprowadzania na nim operacji. Raczej żyć z wrzodem, niż ten wrzód wyieć.

Ta myśl i tytuł książki świadczy, że Maurois wierzy w naczelną siłę instynktu szczęścia w człowieku i równocześnie — nie dostrzegając w czło wieku prawdziwego człowieczeństwa, które kaze mu nieraz deptać własne szczęście i być tragicznym, ulegając rozkazowi ukrytego w głębi duszy dajmonionu. Ale bohaterowie Maurois nigdy nie będą tragiczni — są to mieszczanie Francji Stawiskich i „bohaterzy” życia ułatwionego.

DON KICHOT

DLA MŁODZIEŻY

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA: Przygody Don Kichota. W przekładzie z hiszpańskiego i opracowaniu dra Edwarda Boyé. Z 15 rysunkami według G. Dorégo. Str. 192. Warszawa. 1935. Książnica — Atlas.

Dr. Edward Boyé, jeden z najlepszych tłumaczy z włoskiego i hiszpańskiego podjął pracę przełożenia na język polski pełnej edycji „Don Kichota”. Dotychczas bowiem nie posiadaliśmy przekładu, któryby dawał nam prawdziwe wyobrażenie o tem arcydziele literatury światowej.

„Don Kichot” w opracowaniu dla młodzieży jest pracą wtórną. Do brze, że dr. Boyé nie zachował swego piękności, ze smakiem archaizowanego przekładu tylko dla tych, którzy mogą pozwolić sobie na kupno luksusowego wydania Mortkowicza, ale przygotował także wydanie skrócone, przeznaczone właściwie nie tylko dla młodzieży. Skróć został znacznie zrobiony i choć, oczywiście nad skrótem musi gorować pełny „Don Kichot”, poznanie dzieła Cervantesa w skróconej postaci także ma swoją wartość.

POWIEŚĆ FRANCUSKIEGO

LONDONA:

„GWIAZDA MÓRZ”

LEOUARD PÉISSON: „Gwiazda mór”. Str. 232. Przekład Marji Zawadzkiej. Warszawa 1935. Tow. wyd. „Rój”.

Jest to pierwsza powieść Peissona. Młody, francuski autor miał szczęśliwy debiut — nagroda literacka, przekład pierwszej książki na kilka języków europejskich, w krytyce Edmunda Jaboux w „Nouvelles Littéraires” zestawienie, i to pochlebne, z Conradem.

Ten ostatni szczebel sławy wydaje się już za wysoki. Peisson jest raczej nieznany w naszym kraju. Dla nas „Gwiazdy mór” byłaby tragedią człowieka, dla Peissona jest to tragedia okrętu. Peisson jest w ujęciu tematu, w stylu, w toku narracji bardziej rzeczowy, niż ludzki. Opowiada doskonale, ale opowiada, jak i pisarz i marzycarz, a nie jak poeta i myśliciel. Obserwacja, zwartość, inżynierska konstrukcja powieści — to pierwsze zalety Peissona. Książka jest interesująca, świetna lektura dla wszystkich, a więc i dla młodzieży. Przekład kulturalny i dobrze oddający beznamiętny, szlachetnie powściągliwy sposób pisania Peissona.

Na marginesie uwagi: okładka niema sensu za dwa grosze. Wartość zmniejsza projektodawców okładki do czytania więcej, niż pierwszej i ostatniej stron książki.